

Ryszard Bańka

Polacy – Romowie, jesteście tacy sami

Zamiast wstępu

Z dużymi oporami siadłem by napisać ten tekst. Wiem, że nie będzie mi łatwo. Z Romami spotykam się od co najmniej trzech lat, a tak mało o nich wiem. Stąd moje obawy, że to co napiszę, może nie spełniać oczekiwań. Ale co tam, spróbuję. Zastosuję tu cygański sposób myślenia. Liczy się dziś, bo tylko to, co jest dziś jest pewne. Natomiast tym co było wczoraj nie będę się zbytnio przejmował, bo kogo to obchodzi. Jeżeli było dobrze, to dobrze. Jeżeli było źle, to trzeba jak najszybciej zapomnieć. Natomiast, co będzie jutro, to się dopiero okaże. Okaże się, jak złożę tekst do wydawcy.

Chcę napisać o swoich kontaktach z Romami, o tym jak ich postrzegam, jakie sprawiają wrażenie na przeciętnym człowieku, za jakiego się uważam. Napiszę również o tym jak zmieniał się mój stosunek do tych ludzi, z którymi wcześniej spotykałem się dużo rzadziej. W tym krótkim opracowaniu zawieram nie tylko swoje osobiste refleksje, ale także trochę faktów wynikających z dokumentów znajdujących się w Szczecineckim Archiwum Państwowym, a także relacje ze zdarzeń z udziałem Romów, których byłem świadkiem. Nie silę się na opracowanie naukowe, to pozostawiam historykom. Moje opracowanie ma charakter publicystyczny i jednocześnie bardzo osobisty. Chcę spojrzeć na Romów przez pryzmat osobistych doświadczeń, chcę pokazać takich Romów, jakich zapamiętałem i jak postrzegałem ich w czasie osobistych kontaktów.

Pierwsze kontakty

Pamiętam jak dziś, gdy miałem sześć lat moja śp. babcia postraszyła mnie, że jak będę niegrzeczny to odda mnie Cyganom. Mieszkałem wówczas z rodzicami w Zajączkowie, maleńkiej wsi niedaleko Połczyna – Zdroju. Zajączkowo przypominało raczej kolonię niż zwartą wieś. Dom od domu oddalony był o kilkaset metrów. Około półtora kilometra od naszego domu, za rozległą łąką czerniła się ściana lasu. Tam dość często zatrzymywał się cygański tabor. Przyjeżdżał zawsze w maju, wozy stały na skraju lasu przez co najmniej dwa tygodnie, a Romowie na koniach bądź pieszo odwiedzali domy w Zajączkowie i pobliskich wsiach. Babcia kupiła patelnię, która służyła mojej rodzinie przez kilkanaście lat. Teraz wiem, że była to prawdziwa, romska, patelnia, o jakiej dziś już można tylko pomarzyć. Pewnego razu z bratem wymknęliśmy się z domu poszliśmy pod las by podpatrywać życie w taborze. Oczywiście nie była to wyprawa w celach naukowych. Chcieliśmy z bliska przyjrzeć się ludziom, o których praktycznie nie wiedzieliśmy nic. Kusił nas wóz z dużą, pomalowaną w kolorowe kwiaty lub coś podobnego, budą. Kusiła nas również muzyka, którą wieczorem słychać było pod lasem. Jednak

tego dnia nie było nam dane poznać się z kimś z taboru. Zawrócił nas ojciec i przy tym nie poskąpił nam kilku pasów. To właśnie wtedy dowiedziałem się od babci, że Cyganie porywają dzieci. Byłem na tyle dzieckiem, że uwierzyłem. Babcia była wówczas największym (poza ojcowskim pasem) autorytetem dla sześciolatka.

W 1959 roku rodzice otrzymali mieszkanie w Połczynie Zdroju. Żał mi było Zajączkowa, ale miasto kusiło swoimi atrakcjami. Zaaferowany nowymi kolegami, ulicami, mnogością ludzi szybko zapomniałem o przestrodze babci, że niegrzeczne dzieci porywają Cyganie. Przypomniało mi się to, gdy pewnego razu do naszych drzwi zapukała młoda Cyganka z dzieckiem zawiniętym w chustę. Prosiła o coś do jedzenia, oferowała wróżbę. Nie bardzo wiedziałem co to znaczy, ale babcia dała jej trochę chleba i kawałek boczku. Po jej wyjściu natychmiast zapytałem, czy to dziecko, które miała na rękach to jest dziecko porwane. Babcia mnie uspokoiła, że nie. Dzieci porwane – wyjaśniała babcia - są natychmiast chowane w wozach, żeby ich nikt nie widział. To jednak nie dawało mi spokoju. Przed zaśnięciem długo myślałem jak sprawdzić, czy Cyganie nie porwali jakiegoś dzieciaka. Jak na siedmiolatka był to problem znacznie przekraczający możliwości jego rozumowania. Następnego dnia nie mogłem doczekać się zakończenia lekcji, gdyż chciałem podzielić się swoimi obawami z kolegami z podwórka. Pamiętam, że reakcja starszych kolegów nie była taka jakiej oczekiwałem, po prostu, zostałem przez nich wyśmiany. Natomiast moi rówieśnicy potraktowali sprawę poważnie i razem postanowiliśmy sprawdzić, co kryją cygańskie wozy. Epizod ten na utkwiał mi w pamięci, bo był brzemienisty w skutki.

Najpierw ustaliliśmy gdzie zatrzymały się cygańskie wozy. Okazało się, że na łące nad rzeką Wogrą. Wybraliśmy się tam po południu. Przez kilka godzin obserwowaliśmy życie w taborze. Liczyliśmy ludzi, sprawdzaliśmy jak pilnowane są wozy, kto do nich wchodzi i wychodzi. Interesowali nas głównie starsi – przecież to oni porywają dzieci. Wiedzieliśmy, że tabor będzie w tym miejscu stał przez kilka dni. Postanowiliśmy przyjść następnego dnia, tyle że wcześniej. Gdy już zajęliśmy stanowisko obserwacyjne zauważyliśmy, że po łące biegają dzieci z taboru. Jeden chłopiec zbliżył się do nas. Potraktowaliśmy go wrogo. Chłopiec odszedł, ale po godzinie powrócił ze starszym – może 15 – 16 letnim chłopakiem. Tu już musieliśmy wykazać respekt. Młody Cygan zaczął wypytywać nas co tu robimy i jeden z nas wypaplał, że chcemy przekonać się gdzie są schowane porwane dzieci. Chłopak coś krzyknął w stronę taboru i po chwili przyszedł jeszcze jeden. Zaprosili nas w pobliże wozów. Zaproszenie było bardzo grzeczne, ale stanowcze. Wobec przeważającej siły – poszliśmy. Okazało się, że nie ma porwanych dzieci, a wozy to nic innego jak domy na kółkach, w których można normalnie

mieszkać. Tego wieczoru bawiliśmy się z razem z cygańskimi dziećmi do późna. Gdy zorientowaliśmy się w czasie – było już ciemno. Zaniepokojeni rodzice już nas szukali. Odnalazł nas mój brat i zabrał z taboru do domu. W domu czekał ojciec ze specjalną nagrodą, a po jej otrzymaniu były kłopoty z siedzeniem...

Mimo iż niektóre części ciała były obolałe, nie żałowałem. Dotarło do mojej świadomości, że dorośli dość często posługują się wybiegami by ukrócić swawole i utrzymać w ryzach swoje pociechy. Nadszarpnęło to jednak autorytet babci. Od tej pory z dość dużym niedowierzaniem przyjmowałem jej twierdzenia, co czasami bywało również powodem do kolejnych doświadczeń.

U schyłku lat pięćdziesiątych i na początku lat sześćdziesiątych nie było jeszcze telewizji, a radio w wielu domach było czymś magicznym. Sąsiedzi dość często schodzili się w jednym domu, grali w karty lub opowiadali o zdarzeniach z przeszłości. Były też opowieści o Cyganach. Dość często mówiono, że Cyganów nie wolno wpuszczać do domów, bo mogą coś ukraść. Zawsze duży nacisk kładziono na owo „coś”, które chociaż nie skonkretyzowane nabierało niemal magicznego znaczenia. W ustach wypowiadających je miało szczególną wartość. Było czymś cennym, niemal niezastąpionym. To mogło być wszystko. W opowieściach starszych Cygan zawsze jawił się jako ten, który oszuka, wyłudzi, okradnie. Nie słyszałem, a właściwie nie pamiętam, by mówiono o nich dobrze. Tak dziwnie się składa, że chociaż już miałem doświadczenie, że nie wszystko co starsi mówią o Cyganach jest prawdą – w to akurat uwierzyłem. Być może przemówiły do mnie argumenty że nie pracują, że żebrzą, że nie chodzą do szkoły. Dopiero kilka lat później zmieniłem na ten temat zdanie.

W czasach mojego dzieciństwa taborzy już więcej do Połczyna nie przyjeżdżały. Nastąpił bowiem rok 1964, ówczesne władze państwowe wydały zakaz wędrowania w taborach. Cyganie zostali osiedleni. W Połczynie nie osiedlono żadnej cygańskiej rodziny.

Bezinteresowna ochrona

Minęło kilka lat, po maturze rozpocząłem pracę na kolei w Świdwinie. W hierarchii kolejowej byłem kimś ważnym – byłem dyżurnym ruchu. Moja czerwona czapka wzbudzała zainteresowanie, szczególnie, że miałem zaledwie 19 lat, a już dyryguję ruchem pociągów. Duma mnie rozpierała, gdy wdziałem zazdrość na twarzach równolatków. Ponieważ w dalszym ciągu mieszkałem w Połczynie, swoje kontakty w Świdwinie ograniczałem do rejonu stacji PKP i rzadko wychodziłem do miasta. Pewnego razu z kolegami (kolejarzami) poszliśmy na piwo do pobliskiej restauracji. W restauracji zobaczyłem kilku śniadych mężczyzn. Kolega powiedział

mi, że to są Cyganie, którzy wieczorami przygrywają do tańca. Nie wykazałem większego zainteresowania ani zdziwienia – przyjąłem do wiadomości. Po kilku, może kilkunastu dniach, pełniłem służbę dyżurnego ruchu. Na stację wjechał pociąg osobowy. Kilkanaście osób wysiadło, kilkanaście wsiadło. Od strony Szczecina zbliżał się pociąg pospieszny, który przejeżdżał przez Świdwin bez zatrzymania. Zapowiedziałem przez megafon jego przejazd i ostrzegałem podróżnych przed zbliżaniem się do toru, po czym wyszedłem na peron by spełnić swój obowiązek i przepuścić pociąg pospieszny, a następnie odprawić osobowy. Wchodząc na peron drugi korzystałem z przejścia służbowego w poziomie szyn, dla podróżnych było przejście przez tunel. Tuż przed przejazdem pociągu pospiesznego widziałem kilka wybiegających z poczekalni osób. Pomyślałem, że nie zdążą już na osobowy, bo ten musi zaraz ruszyć. Pospieszny przejechał, w grupie kilku osób zobaczyłem starszą kobietę, która szła z trudem podpierając się laską. Nie podniosłem lizaka do góry, nie odprawiłem pociągu osobowego, przepuściłem ją przejściem służbowym, pomogłem wsiąść do pociągu i dopiero wówczas dałem sygnał odjazdu. Pociąg ruszył, a zaraz potem na peron wbiegł zdyszany młody Cygan. Zapytał o starszą kobietę. Odpowiedziałem, że pojechała tym pociągiem. Cygan popatrzył na oddalający się pociąg i odszedł. Zapomniałem o tym wydarzeniu, bo podobnych bywało wiele i pojechałem do pracy na innej stacji w tzw. delegację. Po miesiącu wróciłem na peron do Świdwina. Tu koledzy poinformowali mnie, że wypytują się o mnie Cyganie i żebym się miał na baczności, bo to nie wróży niczego dobrego. Radzili mi nawet, żebym przeniósł się z peronu na nastawnię, gdzie nikt mnie nie będzie widział. Zlekceważyłem ostrzeżenia kolegów, bo – moim zdaniem – nie miałem żadnych kontaktów z Cyganami poza przypadkowym spotkaniem ich w restauracji i raz na peronie. Doszedłem do wniosku, że ich ostrzeżenia są bez znaczenia. Minęło kilka dni i nic się nie działo. Pewnej soboty zmiennik spóźnił się do pracy i musiałem zostać dłużej. Mój pociąg do Połczyna już odjechał, gdy dostałem zmianę. Do następnego miałem trzy godziny. Jeden z kolegów zaproponował piwo w restauracji, w której grają Cyganie. Poszliśmy, zamówiliśmy piwo, słuchaliśmy orkiestry, która grała jakieś kawałki muzyki tanecznej. W restauracji było sporo ludzi. W soboty orkiestra grała dłużej, toteż wiele osób chciało się zabawić. Był to czas wczesnego Gierka, ludziom powodziło się lepiej, w sklepach jeszcze niczego nie brakowało. Gdy ta śaczyliśmy piwo podeszło do naszego stolika trzech Cyganów z pytaniem czy mogą się dosiąść. Kolega nic nie odpowiedział, ja ich zaprosiłem. Jeden przybyszów wpatrywał się mocno we mnie. Kolega to dostrzegł, spojrział na zegarek i zasugerował mi opuszczenie lokalu bo może być „gorąco”. Gdy szeptał mi to do ucha, Cygan który tak bacznie mnie obserwował zapytał, czy pracuję na kolei (poza pracą nie nosiłem

munduru). Kolega chciał zignorować to pytanie, ale ja odpowiedziałem twierdząco. Wówczas on przypomniał mi epizod ze starszą kobietą z laską, która dzięki temu, że nie odprawiłem pociągu o czasie, mogła nim pojechać i zdążyła na bardzo ważną uroczystość rodzinną. Powiedział, że to była jego babcia, a on ma na imię Edek, że od tej chwili jestem dla niego kimś bardzo ważnym, a jak ktoś mi zrobi krzywdę, to mam go o tym powiadomić. Byłem bardzo zdziwiony zachowaniem Edka. Nie wiedziałem co tym myśleć. Nie rozumiałem, co ja takiego zrobiłem, że nieznanemu mi przecież Cygan oferuje taka przyjaźń. Nie wiedziałem czym dla Cyganów jest rodzina i co oznacza bezinteresowna pomoc. Nie zdawałem sobie też sprawy, że mimo oficjalnej ówczesnej propagandy Cyganie traktowani byli jako ludzie drugiej kategorii. Kolega, który mieszkał w Świdwinie, ostrzegł mnie, bym o tej znajomości jak najszybciej zapomniał, bo z Cyganami to tylko kłopoty, to zaraz milicja itd.... Muszę przyznać, że nie przejąłem się tym zbyt i nie przypuszczałem też, że kiedykolwiek będę potrzebował pomocy Cyganów.

Od tego zdarzenia minął rok. O moim istnieniu dowiedział się armia i zostałem wezwany przed Komisję Poborową. Po zwolnieniu przez komisję tradycyjnie poborowi odwiedzali bary, by napić się piwa. Miałem wolne, więc dołączyłem do jednej grupy. W barze, do którego weszliśmy, już biesiadowała jedna grupa. Usiedliśmy obok. W pewnej chwili doszło do utarczki słownej pomiędzy dwoma poborowymi, a następnie poszły w ruch inne argumenty typu krzesła. Wycofaliśmy się przed lokal, gdzie inni poborowi bili się z Cyganami. Wśród nich był Edek. Po chwili przyjechała milicja, rozpedziła bójkę, a kilku jej uczestników zatrzymała. Edek ulotnił się jak kamfora, my też wzięliśmy nogi za pas. Na stacji odnalazł mnie Edek. Powiedział mi, że bił się, bo myślał, że to mnie biją. Wówczas tego nie zrozumiałem. Prosty, cygański chłopak, chciał zapewnić mi jak największą ochronę, bo byłem miły dla członków jego rodziny i okazałem im szacunek. Przez cały rok czekał na okazję, by chociaż w niewielkim stopniu się odwdzińczyć. W moim mniemaniu niczego nadzwyczajnego nie uczyniłem, jednak on myślał inaczej. Myślał kategoriami romanipen, a ja nie potrafiłem tego docenić. Kilka miesięcy później zostałem przeniesiony do innej pracy w innej miejscowości i już nigdy więcej Edka nie spotkałem. Znajomi powiedzieli mi, że Edek Cygan (tak go nazywano) wyjechał ze Świdwina w czasie stanu wojennego i słuch po nim zaginął. Niektórzy uważają, że uciekł na Zachód. A ja przez kilka lat zamieszkiwałem w miejscowości, w której nie było rodzin romskich. Skończyłem studia, założyłem rodzinę, prowadziłem normalne życie. Romów sporadycznie i tylko na ulicy spotykałem w Białogardzie. W 1981 zamieszkałem w Szczecinku.

Dzieje Romów na terenie powiatu szczecineckiego

Starając się ustalić kiedy Romowie osiedlili się w Szczecinku udałem się do Archiwum Państwowego i przejrzałem akta Prezydium Powiatowej Rady Narodowej i Urzędu Powiatowego. Niewiele jest dokumentów dotyczących Romów, ale te które odnalazłem są bardzo ciekawe. Najwięcej danych zawierają dokumenty Wydziału Spraw Wewnętrznych i Referatu Ogólno-Społecznego. W dokumentach z lat 1945 – 1952 są tylko wzmianki informujące o przebywających od czasu do czasu taborach wędrownych. Poza suchą informacją o taborze, nie ma zdanych danych. Dopiero w dokumentach sporządzanych od 1952 roku pojawiają się szersze dane. W informacji za I kwartał 1952 r o mniejszościach narodowych zamieszkujących na terenie powiatu napisano, że w 1952 roku przebywało tu 72 osoby narodowości romskiej w tym 15 osób dorosłych. Ludzie ci zamieszkiwali głównie w Gwdzie Wielkiej i Gwdzie Małej. Prowadzili własne gospodarstwa rolne. Pojawia się też informacja o dzieciach uczęszczających do szkoły. Ze sprawozdania wynika, że tylko siedmioro dzieci chodzi do szkoły podstawowej. Ponadto zawarto informację, że na terenie powiatu przebywał tabor z 44 osobami, w tym 27 osób dorosłych. Była to niewielka ilość osób narodowości romskiej i ówczesne władze poza taką lakoniczną informacją niczego więcej nie uczyniły. Kilka miesięcy później w dokumentach pojawia się informacja o warunkach bytowych ludności romskiej mieszkającej w Gwdzie Małej. „... Rodzina cygańska mieszka w zrujnowanym mieszkaniu i Cyganie proszą o materiały do jego wyremontowania. Remont urządzi sami...” – napisano w dokumencie z 27.11.1952 roku. Niestety, nie ma już dalszej informacji, czy pomoc taka została udzielona. Jest jeszcze tylko wzmianka, że w domach zamieszkiwanych przez Romów przeprowadzono kontrolę sanitarną i stwierdzono „... ciasne pomieszczenia...” i „...woda nie nadająca się do picia...” Równie brak informacji o próbie przesiedlenia czy też rozwiązania problemu wody. W IV kwartale 1952 roku na terenie powiatu zamieszkiwało już 97 osób narodowości romskiej, z tego 43 osoby dorosłe. Obowiązkiem szkolnym objęte było 28 dzieci, ale tylko siedmioro ten obowiązek spełniało. Zdaniem urzędników, Cyganie byli „... spokojni i lojalnie, nie sprawiający kłopotów władzy...”. W tamtym czasie jeżeli rodzina romska zdecydowała się na osiedlenie, mieszkanie było przydzielane prawie natychmiast, dbano też by chociaż jedna osoba z rodziny podjęła pracę. Romowie mieli jednak we krwi zew wędrowki. Po przezimowaniu we w miarę znośnych warunkach, wiosną ruszyli do lasu. Urzędnicy Referatu Ogólno – Społecznego byli tym faktem bardzo oburzeni i dali temu wyraz w sprawozdaniu: „... 15 marca 1953 roku ludność cygańska opuściła teren powiatu i udała się w nieznanym kierunku, chociaż ich wójt zapewniał, że nigdzie się nie ruszą...” Na terenie powiatu pozostało tylko 5

rodzin romskich w Gwdzie Wielkiej. Ucieczka Romów nie zmieniła stosunku ówczesnych władz administracyjnych. Powiatowa Rada Narodowa uznała, że nie ma żadnego problemu i ani razu nie stawiała na porządku swoich obrad spraw związanych z Romami. Mimo iż Rada nie zajmowała się tym problemem, urzędnicy mieli obowiązek namawiać Romów do porzucenia wędrownego trybu życia i osiedlenia się na stałe. Zadanie było bardzo trudne i właściwie niewykonalne. W innym, niż wyżej opisanym, przypadku Romowie zgodzili się na osiedlenie. Postawili jednak warunek: władza umożliwi im założenie spółdzielni kotlarskiej, a oni będą mogli wykonywać swoją pracę na terenie całej Polski. Urzędnicy byli takim postawieniem sprawy oburzeni i wydali decyzję odmowną. W uzasadnieniu odmowy napisali: „... pominęłoby się to z celem przejścia ich rodzin na tryb życia osiadłego i dlatego konkretnego i stałego zajęcia Cyganie nie mają...”.

W 1954 roku na terenie powiatu osiedliło się kilka rodzin. W IV kwartale ustalono, że zamieszkuje tu 72 Romów. Liczba ta ciągle się zmieniała. Ze sprawozdań wynikało, że im mniej Romów, tym lepiej dla urzędników, gdyż nie trzeba martwić się ich warunkami bytowymi. Pojawiła się nawet sugestia, by Romów, którzy napływają do Gwdy z południowych krańców Polski traktować jak Polaków, gdyż oni od lat prowadzą osiadły tryb życia, a tu przyjeżdżają w poszukiwaniu lepszych warunków życia. I być może nie ujmowano ich nawet w ewidencjach, gdyż w 1955 roku liczba Romów zmniejszyła się do 24 osób. Są za to informacje o taborach. W okolicy Kwieciszewa przebywał tabor liczący 96 osób. Romowie z tego taboru mieli do czynienia z milicją, gdyż jest wzmianka, że przeciwko 4 osobom z taboru odbyły rozprawy karno-administracyjne i „... czterej winni wybryków chuligańskich Cyganie zostali ukarani karą grzywny w wysokości od 500 do 2500 złotych. Jeden Cygan zapłacił 600 zł, a pozostali wyjechali w nieznanym kierunku...”. Po raz pierwszy w sprawozdaniu z 1955 roku pojawia się wzmianka o dyskryminacji. W jednym z punktów napisano: „... nie było przypadków dyskryminacji.”

W kolejnych sprawozdaniach informacje powielają się. Czytając je można odnieść wrażenie, że urzędnicy przepisują je zmieniając tylko sygnatury pism i daty. Szersza informacja pojawia się dopiero w 1964 roku. W piśmie datowanym na 28.07.1964 r opisano perypetie pewnego taboru, który zatrzymał się na łące koło Kwieciszewa. Tabor ten liczył 32 wozy, na których jechało około 120 osób. Na tej łące już koczował inny tabor, który przyjechał tu z terenu powiatu człuchowskiego. Pomiedzy członkami obu taborów dochodziło do nieporozumień – zdaniem urzędników: „...Cyganie zakłócali porządek, zniszczyli sadzonki w pobliskim lesie należącym do Nadleśnictwa Czarnobór, wycinali drzewa w lesie, a konie zniszczyły zagon

żyta...” W stosunku do winnych wyciągnięto surowe konsekwencje. Milicja zatrzymała wójta tego taboru i zmusiła do zapłaty odszkodowania dla rolnika w wysokości 1200 złotych i dla Nadleśnictwa Czarnobór – 100 zł. Ponieważ nie można było utrzymać tak dużej grupy w ryzach, zmuszono ten tabor do odjazdu. Tabor ten pojechał w kierunku Barwic i zatrzymał się na łące w pobliżu Parsęcka. Tu też doszło do zniszczeń w uprawach. Urzędnicy skrupulatnie obliczyły, że kobiety romskie wykopały 100 kg ziemniaków, a konie zniszczyły ponad pół hektara upraw. Ponownie zatrzymano wójta i zmuszono członków taboru do wypłaty odszkodowania w kwocie 5000 złotych. Ponadto, zatrzymano dwie nieletnie Cyganki, które :”... wyludzały od mieszkańców pieniądze i włóczyły się bez opieki...”. Rodziców dziewcząt ukarano mandatem w wysokości 100 złotych. Nie było więc litości dla Romów. Byli traktowani znacznie surowiej niż Polacy. Wiązało się to z wprowadzeniem zakazu prowadzenia koczowniczego trybu życia. Warto też wspomnieć, że informacje o ruchach taborów przekazywane były organom milicji i Wydziałowi Spraw Wewnętrznych Urzędu Wojewódzkiego. Romowie nic sobie z tego nie robili i nadal żyli jak wolni ludzie. Nie uznawali szkoły, bo chociaż posyłali dzieci do szkół podstawowych, to z meldunków wynika, że np. w 1966 roku na 43 osoby narodowości romskiej zamieszkującej na terenie powiatu aż 34 były analfabetami. W 1966 roku na teren powiatu przybyły kolejne romskie rodziny. Było już 19 rodzin – razem 83 osoby. Przydzielano im mieszkania w starym budownictwie w nienajlepszym stanie technicznym. Romowie deklarowali, że je wyremontują, jednak pozostając często bez pracy nie mieli na to środków, co było wielkim zmartwieniem urzędników sporządzających notatki. W sprawozdaniu za 1967 rok pojawia się informacja, że młodzi Romowie stawali przed komisją poborową, ale nikt nie został wcielony. Romowie żyli swoim życiem. Nie korzystali ze szczepień ochronnych dzieci, nie posyłali dzieci na kolonie i półkolonie. Młodzież romska nie należała do organizacji młodzieżowych poza nielicznymi wyjątkami (ZHP i PCK). W 1967 roku w gospodarce uspołecznionej pracowało 7 Romów. Wtedy też podjęto decyzje, by wstrzymać zapomogi dla rodzin, w których znajdują się niepracujące, ale zdolne do pracy dorosłe osoby. W sprawozdaniu też sformułowano wnioski do Komitetu Koordynacyjnego ds. Cyganów. Oto niektóre z nich:

- Wzmóc nadzór nad ludnością cygańską;
- Koniecznie rozeznawać, do jakich miast wyjeżdżają żebrac i wróżyć;
- Stosować kary za nieróbstwo, prowadzić rozmowy na temat podjęcia pracy, wstrzymać zapomogi;
- Zaangażować młodzież romską do zespołów artystycznych działających w Powiatowym Domu Kultury;

- Zorganizować kurs początkowy dla nie umiejących czytać i pisać;
- Poprawić warunki mieszkaniowe i higieniczno-sanitarne.

Wnioski te są ze wszech miar ciekawe. W odniesieniu do pierwszego nasuwa się spostrzeżenie, że ludność romska była stale inwigilowana i służby państwowe z pewnością zabiegały o informatorów ze środowiska. Wniosek drugi potwierdza powyższe przypuszczenie. W dokumentach znalazłem również adnotację, że: „...zachowanie się ostatnio Cyganów zdradza podejrzenie, że noszą się z zamiarem wyjazdu bo malują i naprawiają wozy...”. Oczywiście do takiego wyjazdu nie doszło, ale o tym musiał donieść ktoś ze środowiska lub ktoś bardzo blisko współpracujący ze środowiskiem. Pozostałe wnioski nie zostały w pełni zrealizowane, przynajmniej nie ma wzmianek na ten temat w zachowanych dokumentach. Natomiast w kilku kolejnych pismach wnioski te powtarzają się. W 1969 roku do Szczecinka przybyły trzy kolejne rodziny. W rejestrze urzędowym zapisano już 104 osoby narodowości romskiej. Skrupulatnie też odnotowano, że z Romami zamieszkuje 6 osób narodowości polskiej i są to małżeństwa mieszane. Po raz pierwszy pojawia się informacji o pomocy finansowej przekazanej Romom na remonty mieszkań. W 1970 roku było to 6448 złotych. W tym roku odnotowano też przejazd taboru przez miasto. Tabor zatrzymano i skontrolowano. Z posiadanych przez Romów dokumentów wynikało, że jadą do Miastka. W 1971 roku na terenie powiatu zamieszkiwało już 112 osób narodowości romskiej w 24 rodzinach. Na remonty mieszkań romskich przeznaczono 42 tysiące złotych. To już była znacząca pomoc, bo w dalszym ciągu w pismach pojawiają się informacje o złym stanie technicznym mieszkań zajmowanych przez Romów. Zastrzegano jednak, że pomocy można udzielać tylko tym rodzinom, które utrzymują się z pracy. Po raz pierwszy też odnotowano fakt odbywania służby wojskowej przez Romów. Pojawiają się też problemy edukacyjne. Aż pięciokrotnie upominano rodziców romskich, że ich dzieci nie chodzą do szkoły. W jednym przypadku nałożono nawet grzywnę, która anulowano bo: „... dziecko kilka razy w tygodniu chodziło do szkoły...”. Kilkoro dzieci romskich korzystało ze świetlicy, gdzie otrzymywało bezpłatne obiady. Po raz pierwszy dwoje dzieci romskich pojechało na kolonie. Ostatni dokument dotyczący Romów sporządzono w styczniu 1974 roku. Zamieszkiwało tu wówczas 29 rodzin, razem 112 osób. Piętnaście dorosłych osób pracowało w gospodarce społecznej. Dziesięć osób zatrudnionych było w charakterze pracownika fizycznego, dwie kobiety pracowały jako sprzątaczkę, jeden stróż, jedna krawcowa i jeden piekarz. W ewidencji tej nie ujęto Romów z Gwdy Wielkiej, których traktowano już jak Polaków, bo „... nie pielęgnują tradycji cygańskiej i nie znają języka cygańskiego...”. Dziś tylko w Szczecinku zamieszkuje ponad 200 Romów. Nikt nie prowadzi ścisłej ewidencji

narodowościowej, dlatego dokładna liczba nie jest możliwa do ustalenia. Wiadomo natomiast, że nie ma już Romów w pobliskim Czaplinku, a jeszcze w 1969 roku zamieszkiwała tam jedna rodzina licząca osiem osób. Nie też rodziny romskiej w Łubowie – w 1969 roku zamieszkiwało tam 3 osoby. Ponadto Romowie zamieszkiwali jeszcze w Radaczu (jedna rodzina – cztery osoby) i w Drzonowie (jedna rodzina – osiem osób). Dziś trudno ustalić, co się z nimi stało. Mieszkańcy tych miejscowości na pytanie o Romów odpowiadają, że nikt taki w ich miejscowości nie mieszka. Natomiast w Szczecinku Romowie zamieszkiwali w starych budynkach na ulicach, które nie cieszyły się najlepszą opinią mieszkańców pozostałych części miasta.

Szczecineckie doświadczenia

W Szczecinku mieszkam na osiedlu przy ulicy Koszalińskiej. Na tzw. „starej” Koszalińskiej zamieszkiwali Romowie. Mieszkańcy osiedla unikali tamtej okolicy. Jak mówili, spotkanie z Romami, szczególnie w nocy, do najprzyjemniejszych nie należy. Najwyraźniej bali się Romów, uważali ich za swego rodzaju zagrożenie. W ich świadomości ciągle tkwił stereotyp Roma, który mógł zrobić krzywdę. W Szczecinku Romowie na ulicach nie wzbudzali sensacji. Jednak w sklepach, na ich widok, ludzie odruchowo chwyтали się za kieszeń, bardziej niż zwykle chronili swoje portfele. To jeszcze zdarza się i dziś, chociaż wizerunek Roma uległ znacznym przeobrażeniom. Trzeba było czasu, by do świadomości przeciętnych mieszkańców dotarło, że Romowie żyją obok nas. Ten czas był potrzebny, bo nie ma innej tak hermetycznie zamkniętej grupy etnicznej. Spotykając Romów, którzy na każdym kroku demonstrowali swoją odrębność wyrażającą się w ubierze, mowie, a nawet sposobie chodzenia, zastanawiałem się zawsze jakimi są naprawdę. Przypuszczałem, że taki sposób zachowania (dość hałaśliwy) jest pewnego rodzaju maską, a w rzeczywistości, pod tą maską ukryci są zupełnie inni ludzie. Brakowało jednak okazji, żeby ten pogląd zweryfikować. Sporadyczne publiczne spotkania z Romami nie miały charakteru prywatnego, nie było okazji do szczerych rozmów, do poznania bliżej ich świata. Czasem tylko w czasie koncertów zespołu cygańskiego Terno, który w tym czasie powstał w Szczecinku, można było zbliżyć się do tej grupy. Jednak pochłonięty codziennymi sprawami nie starałem się nawet nawiązywać bliższych kontaktów, gdyż, co muszę ze wstydem przyznać, nie było to dobrze widziane w środowisku, w którym się obracałem. Rom kojarzony był zawsze z półświatkiem, z niebieskim ptakiem, który nie sieje, nie orze, a zbiera (do tego powiedzenia jeszcze powrócę w dalszych rozważaniach). Nic zatem dziwnego, że moja wiedza na temat Romów nie została wzbogacona o nowe elementy, a w mojej świadomości w dalszym ciągu funkcjonowały powszechnie stosowane negatywne stereotypy. Mój stosunek do Romów zaczął

ewoluować w momencie, w którym rozpocząłem pracę w szczecineckim Radiu ReJa. Był rok 1994, na antenie radiowej dość często graliśmy „cygańskie” kawałki. Szukaliśmy informacji o zespołach cygańskich, o ludziach, którzy je tworzą i tak wiedza bardzo powoli, ale stopniowo poszerzała się. Wiedza ta dotyczyła wprawdzie zespołów, ale było to już „coś”. Zainteresowanie problematyką romską wzrosło po sukcesie szczecineckiego zespołu Terne Roma w Ciechocinku. Wówczas wiele osób uświadomiło sobie, że wśród nas żyją Romowie, że może warto przyjrzeć im się bliżej. Wtedy też w Szczecinku zrobiło się głośno o Romach nie z powodów artystycznych, ale politycznych. Mieszkańcy regionu dowiedzieli się, że szczecinecki Rom Roman Chojnacki został wybrany do utworzonego właśnie w ramach Internationale Romani Union Romskiego Parlamentu. Wtedy też do naszej świadomości dotarło, że Romowie, naród nie mający własnego państwa, podejmują starania by się zjednoczyć, by wspólnie działać, chronić swoją kulturę i dziedzictwo. W tym też czasie w Szczecinku powstał Związek Romów Polskich, a jego prezesem został Roman Chojnacki. Informacje na ten temat podawałem w Polskim Radiu Koszalin i Kurierze Szczecińskim. Wtedy też uświadomiłem sobie, że nic o Romach nie wiem. Zacząłem obserwować Romów na ulicy, wsłuchiwałem się w mowę. Byłem zdziwiony faktem, że w gąszczu obco brzmiących słów odnajdywałem słowa polskie. Nie wiedziałem wówczas, że Romowie na całym świecie dla uproszczenia języka zapożyczają niektóre słowa z języka kraju, w którym mieszkają. Teraz wiem, że niektóre wyrażenia i zdarzenia w języku romskim można wyrazić tylko opisowo, co jest dość kłopotliwe. Praca dziennikarska zmuszała mnie do poszukiwań wiedzy na temat Romów. I szukałem, przy czym chcę zaznaczyć, że nie było to pierwszoplanowym celem moich działań. Szukałem „przy okazji” czegoś. A te okazje zaczęły się zdarzać dość często. O przepływ informacji ze Związku Romów Polskich mocno dbała i dba Joanna Chojnacka, sekretarz zarządu. W 2003 roku zaskoczyła świat dziennikarski informacją, że został powołany Instytut Pamięci i Dziedzictwa Romów oraz Ofiar Holokaustu. Było to coś niespotykanego. Pamiętam komentarze prasowe na ten temat. Sceptycy mówili, że to kolejny propagandowy bubel mający na celu zwrócenie uwagi na społeczność romską. Tymczasem Instytut rozpoczął szeroko zakrojona działalność naukowo – badawczą, co zamknęło usta malkontentom. W 2003 roku miałem okazję porozmawiać z człowiekiem, który stworzył coś w rodzaju słownika polsko – romskiego – Janem Kochanowskim (Vania de Gila). W książce „Mówimy po romsku” przedstawił historię, kulturę i język Romów. Egzemplarz tej książki wydanej przez Związek Romów Polskich bardzo często służy mi pomocą w codziennej pracy z Romami. W tamtym czasie Związek posiadał już własną siedzibę w centralnym punkcie miasta. Na jego otwarciu były wszystkie ważne osobistości z terenu miasta i powiatu.

Świadczyło to o znaczeniu Związku. Prezes Związku w wywiadzie, którego mi udzielił, w prostych słowach powiedział, że pomieszczenie to umożliwi niesienie pomocy Romom, bo oni bardzo tej pomocy potrzebują. Ja nie widziałem wówczas takiej potrzeby. Pamiętam, jak w gronie kolegów dziennikarzy komentowaliśmy my te słowa: przecież Romom powodzi się nieźle, pomoc ta chyba bardziej potrzebna jest rodzinom polskim. Nasz sposób myślenia wynikał z tego, że najczęściej widzieliśmy Romów w szybkich samochodach, elegancko ubranych. Grupa, której lepiej się powodziło bardziej wpadała w oczy. Osoby potrzebujące pomocy nie obnosiły się ze swoimi kłopotami, dlatego były niedostrzegalne. W Ośrodku Pomocy Społecznej nie rozróżniano narodowości, toteż pracownicy socjalni w czasie rozmów z nami nie zwracali nam uwagi na problemy tej grupy etnicznej. Dopiero akcje Związku uświadomiły nam, że wśród nas żyje grupa ludzi, która potrzebuje bardzo dużego wsparcia, ale ludzie ci są zbyt honorowi, by otwarcie wyciągać rękę. Częściej starają się załatwiać te sprawy w swoim gronie.

Romano Dżipen

W 2005 roku do Redakcji Szczecineckiej Polskiego Radia Koszalin S.A. został przydzielony redaktor Andrzej Rudnik. Wzmocnienie kadrowe było konieczne ze względu na poszerzenie zakresu działalności. Redakcja przygotowywała i emitowała „na żywo” około 30 godzin programu tygodniowo. To bardzo dużo, zważywszy, że program przygotowywały dwie osoby. Pamiętam jak szukaliśmy tematów wielkanocnych, chcieliśmy przygotować coś, czego jeszcze w takim wymiarze na antenie nie było. Postanowiliśmy przygotować program o tradycjach romskich związanych z tymi świętami. To był tzw. strzał w dziesiątkę. Spotkaliśmy się z bardzo przychylnym potraktowaniem przez władze Związku. Umożliwiono nam kontakty z ludźmi starszymi, którzy doskonale pamiętali jak to było w taborach. Nagrania robiliśmy w domach romskich. Pierwszy raz byłem wówczas w domu romskim należącym do osób starszych. Wcześniej byłem w kipiącym od przepychu salonie domu lidera zespołu Terne Roma. Dom ludzi starszych zrobił na mnie inne wrażenie, podobnie jak przyjęcie nas. Na podwórku powitał nas gospodarz, pochwalił się drzewkami owocowymi. Wokół panował wzorowy porządek, nie było niczego niepotrzebnego. Zostaliśmy zaproszeni do domu. W mieszkaniu potraktowano nas jak przyjaciół, życzliwie zadano kilka pytań dotyczących naszego samopoczucia, powodzenia i rodziny. Nie były to pytania dociekliwe, ale słyhać w nich było nutkę życzliwego zainteresowania. Było to bardzo miłe. Pokój, do którego na zaproszono był urządzony bardzo skromnie, było bardzo czysto i ciepło. Stereotyp mówiący, że w domach romskich nie przywiązuje się wagi do porządku, a wszystko robi się raczej na pokaz, pękł jak bańka mydlana.

Nawiązaliśmy rozmowę na temat, który nas interesował. Odpowiadała głównie Pani Domu. Opowiadała ze swadą, bardzo pięknym, prostym językiem. Zaskakiwały mnie niektóre odpowiedzi. Wyobrażałem sobie, że będzie bardzo dużo różnic, że będzie „kręcenie”, a tu nic. Proste, rzeczowe odpowiedzi. Pech chciał, a właściwie złośliwość rzeczy martwych, że „siadł” nam magnetofon i musieliśmy rozmowę przerwać. Z zażenowaniem przepraszaaliśmy naszych rozmówców i umawialiśmy się na kolejne nagranie. Pani domu machnęła tylko ręką i stwierdziła, że widocznie Pan Bóg chce, żebyśmy ich częściej odwiedzali, a woli Boga nie wolno lekceważyć. Odetchnęliśmy z ulgą. Chcieliśmy się pożegnać, ale Pani Domu nie pozwoliła nam wstać od stołu bez poczęstunku. Zostaliśmy poczęstowani znakomita kielbasa własnej roboty, której smak jeszcze do dziś czuję w ustach. To była prawdziwa, cygańska kielbasa. Takiej nigdzie się nie kupi. A wyroby masarskie, które w sklepach opatrzone są nazwą „po cygańsku”, przy tej kielbasie nie powinny nawet leżeć. Później się dowiedziałem, że tak naprawdę to one, oprócz nazwy, niczego cygańskiego nie mają. O tej wizycie w domu romskim napisałem szerzej, bo to wówczas postanowiliśmy stworzyć cykliczną audycję na temat tej mniejszości narodowej. Od pomysłu do realizacji droga dość długa i wyboista. Tak było i w tym przypadku. Uznaliśmy, że naszym partnerem strategicznym w tym przedsięwzięciu może być tylko Związek Romów Polskich. Rozmowy na ten temat z Prezesem Związku Romanem Chojnackim prowadził Andrzej Rudnik. On też nagrał trzy pierwsze odcinki. Ja prowadziłem rozmowy z Zarządem Radia w sprawie przydzielenia czasu antenowego. Otrzymaliśmy upragnioną zgodę i cztery minuty czasu antenowego tygodniowo. Na początek było to coś. Pierwsze odcinki audycji Romano Dżipen wyemitowaliśmy w lipcu, ale zbyt dużej porcji wiedzy mi nie dały. Była to tzw. wiedza encyklopedyczna, którą można (wprawdzie z trudem) znaleźć w nielicznych publikacjach o Romach. W międzyczasie niektóre audycje (ze względów technicznych) ze Szczecinka zostały przeniesione do Koszalina. Andrzej Rudnik wrócił do pracy w macierzystej redakcji. Romano Dżipen pozostało w Szczecinku. Postanowiłem powalczyć o wydłużenie czasu antenowego i obecnie audycja może trwać nawet 12 minut. To pozwala na przybliżanie kultury i tradycji romskiej, pozwala też na emisję romane gila (romskiej muzyki). Taki układ zmusił mnie do nawiązania bliższych kontaktów ze środowiskiem romskim. Starłem się zaprzyjaźnić z osobami współpracującymi przy audycji. Moje zabiegi były przyjmowane początkowo nieufnie, z dużą rezerwą. Potem było już lepiej. Bardzo podoba mi się sposób wpływania na treść audycji przez Prezesa Romana Chojnackiego. Chociaż ma do tego prawo, nigdy nie narzuca tematyki, nigdy nie ingeruje w treść. Dbą tylko o to, by wszystko odbywało się w zgodzie z romanipen. Rozmawiamy bardzo często, czasem bardzo długo. Za każdym

razem dowiaduję się czegoś nowego na temat Romów, a przede wszystkim na temat romanipen. Wiem, na co zwracać szczególną uwagę w kontaktach z Romami. Wiem, że nie wolno stwarzać sytuacji, w których Rom mógłby poczuć się nie komfortowo. To może być odebrane jako dyskryminacja, a na tym punkcie, po latach cierpień, Romowie są bardzo czuli. Wśród ludzi starszych do dziś jeszcze słycać tęsknotę za taborzem, za życiem w lesie, gdzie pory dnia wyznaczały kolejne obowiązki. Młodszy dziś już podchodzą do sprawy nieco inaczej. Przygotowując jedną z audycji Romano Dżipen zadawałem młodzieży romskiej pytania na temat życia w taborze. Prawie wszyscy moi rozmówcy stwierdzili, że dobrze by było przekonać się jak to była naprawdę. Kilkunastoletnia dziewczynka odpowiedziała z rozbrajającą szczerością, że opowieści babci na ten temat brzmią bardzo pięknie i ciekawie, ale w taborze nie było telewizora ani radia, a ona sobie nie wyobraża życia bez możliwości obejrzenia interesujących jej programów i wysłuchania audycji radiowych. No i jeszcze jedna przeszkoda: w taborze nie było łazienek.... No cóż, do zdobycia cywilizacji człowiek przyzwyczaja się bardzo łatwo, a zrezygnować z nich nie każdy potrafi. Na ten temat rozmawiałem też z kilkoma przedstawicielami średniego pokolenia. W przeważającej większości słycałem odpowiedzi, że na dwa trzy tygodnie można pojechać z taborzem, ale potem trzeba wracać do cywilizacji. W tym względzie ci Romowie w niczym nie różnią się od przedstawicieli innych nacji. Przecież bardzo często wyjeżdża się na urlop pod namiot, czy też w karawaniu.

Romano Dżipen nadal pozostaje dla mnie kopalnią wiedzy o Romach i o ich zwyczajach. Bardzo pouczające było dla mnie spotkanie z tradycją dotyczącą podziału obowiązków w tradycyjnej rodzinie romskiej. Tu istnieje wyraźny podział na obowiązki męskie i kobiece. W pewnym momencie dopatrzyłem się nawet dyskryminacji kobiet i nawet nieśmiało zapytałem moja starsza już rozmówczynię, czy nie czuje się dyskryminowana. W odpowiedzi usłycałem, że: „po to chłop nosi spodnie i kapelusz, by zajmował się męskimi sprawami, a kuchnię i domowe prace porządkowe powinien pozostawić kobiecie”. Wypowiedź tę odtworzyłem swojej żonie, która akurat chciała bym obrał ziemniaki. Żona przyjęła to ze zdziwieniem, tak jak informację, że kobiety i mężczyźni w czasie dużych uroczystości nie zasiadają przy jednym stole. W jej mniemaniu jest to wyraźna dyskryminacja kobiet. Na szczęście ten podział obowiązków ulega zatarciu. Coraz częściej młodzi mężczyźni wspierają swoje żony w obowiązkach domowych, coraz częściej pomagają przy dzieciach i w robieniu zakupów. Cieszy również fakt, że nie wstydzą się tego, że mówią to otwarcie bez najmniejszego zażenowania.

Z Romano Dżipen związany jest jeszcze jeden przypadek, którego nie sposób pominąć. Otóż zainteresował mnie problem edukacji Romów. Wiedziałem z wcześniejszych informacji, że

bardzo często Romowie kończyli edukację na kilku klasach szkoły podstawowej. Dziewczęta szybciej, gdyż rodzice obawiali się, że taka dorastająca panna zostanie porwana przez jakiegoś Roma i, zgodnie z tradycją, będzie musiała wyjść za mąż. Tymczasem okazało się, że w Szczecinku wygląda to trochę inaczej. Prawie wszystkie dzieci realizują obowiązek szkolny, a władze oświatowe są pełne podziwu dla działań Związku, który kładzie bardzo duży nacisk na oświatę. To całkowicie zmienia stosunek rodziców i dzieci do edukacji. Tak jak w każdym większym środowisku romskim, w Szczecinku funkcjonuje świetlica integracyjna dla dzieci romskich i polskich. Kilka razy odwiedziłem świetlicę z mikrofonem, co potem służyć było na antenie. Idąc pierwszy raz na zajęcia świetlicowe sądziłem, że jest to działanie obliczone bardziej na pokaz niż na efekt. Myliłem się srodze. Zajęcia świetlicowe odbywają się pod okiem doświadczonej nauczycielki oraz, specjalnie do tego przygotowanych, asystentów romskich. Świetlica działa nie na pokaz, ale spełnia wszystkie funkcje edukacyjne i integracyjne. Byłem zaskoczony obecnością starszych Romów w czasie zajęć świetlicowych. Dla nich to też było bardzo pouczające, oni pilnowali, by ich dzieciom nie stała się krzywda. Przekonali się dość szybko, że tu nic im nie grozi, ale mimo tego w dalszym ciągu dość często odwiedzają świetlicę. Jest to też swego rodzaju forma towarzyska. W czasie gdy dzieci bawią się lub wykonują przewidziane planek zajęcia, rodzice rozmawiają, wymieniają poglądy, lub po prostu, obserwują swoje pociechy.

Proces

Mówi się, że ludzi najlepiej poznaje się w sytuacjach trudnych i to jest prawda nie wymagająca dowodu. Wielu Romów poznałem w czasie najgłośniejszego w Polsce procesu sądowego, w którym – rzecz niebywała – Rom pozwał Roma przed polski sąd, przy czym obaj Romowie są ze sobą bardzo blisko spokrewnieni. Nie będę tutaj opisywał przebiegu tego zdarzenia. Szczegółowy opis postępowania sądowego można znaleźć na stronie www.romowie.com. Mnie bardziej zaintrygowały charaktery i osobowości.

W tym procesie nastąpiło zderzenie tradycji z nowoczesnością, przy czym trzeba zaznaczyć, że tradycję oparto na fałszywych przesłankach płynących z rzeczywistych zdarzeń. Tą najbardziej fałszywą przesłanką były pieniądze, które rzekomo Romowie mieli otrzymać. Pieniądze zawsze wzbudzały emocje. Tak było i teraz. I teraz pieniądze przesłoniły oczy, osłabiły poczucie odpowiedzialności i godności, rozbiły tak silne w tradycji romskiej więzi rodzinne. Odpowiednio podsycane informacje potęgowały te wrażenia. Rodzina się podzieliła na oskarżycieli i oskarżanych. Sprawę tę wcześniej dwukrotnie rozstrzygał sąd romski.

Uczestniczyłem w drugim procesie. Byli tam również Romowie ze Szczecinka. To, co usłyszałem nie wzbudziło we mnie żadnego entuzjazmu, a wręcz przeciwnie: smutek i przygnębienie. Zobaczyłem kilku szczecineckich Romów, którzy zacierzewieni w swej żądzy pieniądza, posuwali się do daleko idących kłamstw i oszczerstw. Takich Romów wcześniej nie znałem! Zawsze wiedziałem, że są to ludzie skromni, zamknięci w sobie, ale szczerzy. Tymczasem w Nowym Dworze Mazowieckim zobaczyłem, a właściwie usłyszałem, zupełnie inne oblicze pewnej grupy tych ludzi. Nie mieściło mi się to w głowie. Najbardziej zdziwiło mnie, że bardzo szybko zmieniali zdanie. Może zaważył na tym autorytet Siero Roma, który przewodniczył temu zgromadzeniu, może wpływ miał udział prasy, może obecność przedstawicieli Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, a może ludzka żądza pieniądza? Tego nie wiem i chyba nie będę wiedział. W każdym razie w Nowym Dworze zweryfikowałem trochę swój pogląd na tradycje romskie i poczucie odpowiedzialności.

Kolejna weryfikacja następowała przed cywilnym sądem polskim w Szczecinku, gdy świadkowie oskarżenia plątali się w swych zeznaniach, gdzie przy końcu swoich wypowiedzi zaprzeczali temu, co mówili na początku. Moja wyimaginowana postać idealnego Roma prysła jak bańka mydlana. Zrozumiałem, że są to ludzie tacy jak my, ze swoimi przywarami i słabościami. W dalszym ciągu nie rozumiałem, dlaczego dokumenty dla nich nie mają wartości dowodowej, że bardziej liczy się słowo niczym nie potwierdzone. Wyjaśnił mi to romski poeta Edi Kolompart. Edi powiedział mi, że dla większości Romów słowo Siero Roma oznacza prawdę nawet jeżeli by tą prawdą nie było. W przeszłości bowiem romskie wyroki nigdy nie były kwestionowane, a każdy Rom stosował się do nich bez mrugnięcia okiem. Teraz, gdy następuje zderzenie tradycji z nowoczesnością, wiedzy opartej na dokumentach z pomówieniem, dla Siero Roma bardziej liczy się ta strona, która gwarantuje mu większą korzyść. Tak było i w tym przypadku. Nie zmieniło to jednak mojego stosunku do Związku Romów Polskich i do osób pochodzenia romskiego (z pewnymi wyjątkami), z którymi współpracuję. Nadal uważam ich (mam nadzieję, że oni również) za swoich przyjaciół.

Proces stworzył mi możliwość innego spojrzenia na środowisko romskie. Zrozumiałem, że nie tworzy monolitu, że nie ma jedności poglądów i działań. Bardzo trafnie ujął to Karol Parno Gierliński – artysta rzeźbiarz i poeta z Gorzowa Wielkopolskiego, który – będąc człowiekiem wykształconym – patrzy znacznie szerzej niż wielu innych Romów. Odszukałem jego wypowiedź, którą cytowałem w Kurierze Szczecińskim:

„ Nie możemy poddawać się zacofanej tradycji – mówił Karol Parno Gierliński. – Bierzmy z niej to, co najlepsze, co możemy przekazać narodowi, z którym na jednej ziemi żyjemy.

Pokażmy im naszą kulturę, nasze zwyczaje, a przyjmijmy od nich wiedzę o świecie i jego pojmowaniu. Uczmy się, bo bez wykształcenia szybko staniemy się Pariasami Europy. To co złe w naszej tradycji - odrzucmy, ale pamiętajmy, że takie coś kiedyś miało zastosowanie. Idźmy razem z Polakami, ale bez asymilacji, zachowujmy swą odrębność kulturową. To nas uchroni...”. Głos Karola Gierlińskiego nie był wysłuchany przez drugą stronę procesu. A szkoda – bo Romowie mogliby wówczas inaczej spojrzeć na pozycję Siero Roma. Proces nauczył mnie jeszcze jednego: podobnie jak w każdej nacji pieniądze mogą nawet rozbić rodzinę. W tym procesie można było zobaczyć też walkę o wpływy w środowisku romskim. Osoba rzucająca oszczerstwa starała się zniszczyć przeciwnika, gdyż ten zbyt wysoko wyrósł ponad przeciętność w środowisku. Ponadto zdobył duże wpływy międzynarodowe i miał duże możliwości działania. Obawa o utratę wpływów, a także ewentualna możliwość zdobycia korzystniejszych warunków działań była motorem całego przedsięwzięcia. Mówiąc innymi słowami – była to najzwyczajniejsza ludzka zazdrość, która podzieliła rodzinę i środowisko i doprowadziła do bezprecedensowego procesu sądowego. Na szczęście – przynajmniej na razie – sprawa nie ma dalszego ciągu.

Targi

Związek Romów Polskich jest jednym z partnerów programu Inicjatywy Wspólnotowej EQUAL realizowanego przez Międzynarodową Organizację ds. Migracji IOM w Genewie „Partnerstwo dla aktywizacji zawodowej Romów poprzez narzędzia gospodarki społecznej”. W ramach tego projektu powstały romskie spółdzielnie socjalne. Jedną z takich spółdzielni powstała w Szczecinku. Ze względu na doskonale układającą się współpracę i przyjacielskie stosunki łączące mnie z Romami, postanowiłem pomóc spółdzielni KHETANE ze Szczecinka i umożliwić jej promowanie się na Zachodniopomorskich Targach Wystawienniczych w Złocięncu. Targi nie należą do największych, ale zawsze cieszą się dużą popularnością wśród zwiedzających i wystawców. Zaproponowałem Prezesowi Związku Romów Polskich udział w targach. Propozycja została przyjęta. Muszę przyznać, że gdy na posiedzenie komitetu organizacyjnego targów zapowiedziałem udział Romów, padały różne głosy, sprzeciwu również. Ludzie nie mające dotąd kontakty z Romami cały czas postrzegali ich jako tych, którzy potrafią ukraść, oszukać itp. Z wielką przyjemnością rozwiewałem ich obawy. Przez prawie pół godziny opowiadałem o Romach, których znam i których zaprosiłem do udziału w targach. Moja opowieść przyjmowana była z pewnym niedowierzaniem, ale udział Romów w Targach został zatwierdzony. Wszyscy byli ciekawi, jak zaprezentują się Romowie, co pokażą nowego, jak się będą zachowywać. I tu jestem dumny. Moi protegowani (tak chyba mogę napisać) „powalili

Złocieniec na kolana”. Organizatorów ujęli prostą, szczerością zachowań i kulturą. A publiczność biła gorące brawa słuchając koncertu znakomitego zespołu Parni luludziori i oglądając występ szczecineckiego zespołu tanecznego De Gila. Parni luludziori grał i śpiewał ponad godzinę, a zaprogramowany na 15 minut występ dziewczynek z grupy De Gila wydłużył się do 40 minut. Tego jeszcze w Złocieniu nie było! Muszę przyznać, że chodziłem po targowej hali dumny jak paw. Moi bracia Romowie pokazali, jakimi są naprawdę. W Złocieniu już nikt niczego złego o nich nie powie. Ja natomiast dowiedziałem się czegoś nowego o Romach: w chwilach trudnych potrafią się zmobilizować, potrafią dokonać czegoś, co w przeszłości było dla nich niewykonalne. Z wielką radością słuchałem propozycji komisji konkursowej, by Spółdzielnię Khetane nagrodzić Superpucharem Targowym, a patelnie – Medalem Zajączka Złocieniaszka. Można sobie wyobrazić moją dumę, gdy prowadząc uroczystość wręczenia nagród wywoływałem na estradę przedstawicieli Romów po odbiór nagród. Muszę tu dodać, że w targach uczestniczyła jeszcze jedna socjalna spółdzielnia romska – Sare z Krakowa. Spółdzielnia otrzymała Medal Zajączka Złocieniaszka i nagrodę specjalną.

Udział Romów w targach był szeroko komentowany. Chciwie słuchałem opinii i uwag. Była tylko jedna krytyczna i odnosiła się do porozumiewania się Romów. Kilka osób narzekało, że nie rozumiało, o czym po romsku rozmawiają. No cóż, ja też nie wszystko rozumiem, o czym mówią. Ale to nie ich wina, języków trzeba się uczyć, romskiego też.... Natomiast wszyscy mówili o tym ze zdziwieniem, że to są zwykli ludzie, może trochę wyróżniający się strojem i mową, a to co do tej pory o nich sądzili to wierutna bzdura. W czasie posiedzenia Komitetu Organizacyjnego kolejnych targów już pytano mnie, czy i tym razem zaproszę Romów. Odpowiedziałem: a jakże może być inaczej.

De Gila

Wspominałem już o integracyjnej świetlicy romskiej. Uczęszczają do niej dzieci romskie i polskie. W październiku 2006 roku jedna z opiekunki Ewa Trojanek i Magdalena Baran zaczęły uczyć dziewczynki tańców romskich. Dziewczęta już w grudniu miały okazję zaprezentować swój talent w Pałacu Prezydenckim w Warszawie. Widziałem ten występ i bardzo mi się spodobał. Nie na darmo mówi się, że Romowie śpiew i taniec mają we krwi. W podróży powrotnej namawiałem dziewczynki, by kontynuowały naukę tańca. Po namyśle – prawdopodobnie na odczepnego – dziewczęta zgodziły się. Bardziej konsekwentne były opiekunki. Zespół okrzepł i cały czas ćwiczy. Pierwszy publiczny występ był w czasie otwarcia spółdzielni romskich, a potem olbrzymi sukces w Złocieniu. W Złocieniu zespół wystąpił już

jako De Gila. Odwiedzam czasem zespół w czasie zajęć świetlicowych. Kibicuję im życzliwie. O istnieniu zespołu opowiadam gdzie się da. Dzięki temu zespół De Gila wystąpił w Kłaninie i w Bobolicach. Wystąpił też w Szczecinku w czasie uroczystości z okazji Dnia Nauczyciela. Wydaje mi się, że chociaż władze instytucji kulturalnych w Szczecinku wiedza o istnieniu zespołu, to jednak czynią niewiele, by spopularyzować romskie tańce. Niestety, dla nich istnieje tylko bardzo komercyjny Terne Roma, który dziś już nie tchnie tą świeżością i oryginalnością typowa dla zespołów romskich. De Gila to ciągle świeżość, to coś nowego, coś co jeszcze wymaga pomocy. Podziwiam Związek Romów Polskich, że zakupił (drogie przecież) stroje dla dziewcząt. Potrzebne są jeszcze środki na nagrania i na zakup instrumentów dla zespołu. Jest szansa, że będzie to prawdziwy romski zespół nawiązujący do dawnej tradycji nie tylko strojem, ale przede wszystkim muzyką, aranżacją i choreografią.

Inni Romowie

W ciągu tych kilku lat poznałem wielu Romów. Jednych – tak jak np. wspomnianego już Karola Parno Gierlińskiego z Gorzowa Wielkopolskiego podziwiam za jego mądrość w pojmowaniu świata, za jego twórczość artystyczną. To wielki człowiek, który ma szczególny dar zjednywania sobie ludzi. Każdym, kto chociaż raz z nim porozmawia, będzie często w myślach wracał do wypowiedzianych przez niego słów. Z przyjemnością wspominam rozmowy o sztuce z Edim Kolompartem, z przyjemnością też wczytuję się w jego wiersze. Olbrzymie wrażenie zrobiła na mnie Alfreda Markowska jedyna Romka odznaczona „za bohaterstwo i niezwykłą odwagę, za szczególne zasługi w ratowaniu życia ludzkiego, Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, która w czasie II wojny światowej uratowała życie kilkudziesięciorgu dzieciom pochodzenia romskiego i żydowskiego. Miałem przyjemność porozmawiania z Nią. Alfreda Markowska mówi, że jest typowa Romka, która z konieczności wiedzie osiadłe życie i tęskni za życiem w taborze. Na pytanie o swój niezwykły czyn odpowiedziała: (cyt. z Kuriera Szczecińskiego) „...Jakie tam niezwykle. Robiłam to, co powinnam. Bóg dał nam tylko jedno życie i starałam się je ratować. Ratowałam też życie innych. Udało mi się ocalić z zagłady około 50 dzieci żydowskich, romskich, a po przejściu frontu również niemieckich. Z wieloma utrzymuję do dziś kontakt, bardzo mnie szanują. Niektórzy żyją i mieszkają w Szczecinku, wiele jest poza granicami Polski. Wszyscy traktują mnie jak ciotkę. ...” I to jest bardzo charakterystyczne dla większości Romów z którymi się zetknąłem. Skromność, szacunek dla innych, wielkie przywiązanie do rodziny, olbrzymi szacunek dla starszych – to cechy które wyróżniają Romów od reszty społeczeństwa polskiego. Mógłbym tu

jeszcze przywołać dłuższą listę (Stanisław Stankiewicz, Don Vasyl, Lulek Fedorowicz i inni), jednak poza nazwiskami musiałbym powtarzać pewne stwierdzenia.

Zamiast wniosków

Romowie żyją wśród nas. Każdy z nas postrzega ich na swój sposób. Najbardziej chyba rozpowszechniony jest wizerunek Roma jako człowieka pochodzącego z grupy łamiącej porządek publiczny i zasady cywilizowanego życia. Inne spojrzenie dotyczy odmienności Romów, niemal egzotyki, ucieleśnienia marzeń o wolności i nieustającej wędrówce. Można też widzieć Romów jako mniejszość narodową o bardzo silnym przywiązaniu do tradycji, walczącą o wspólną tożsamość etniczną, choć jednocześnie bardzo podzieloną. Wydaje mi się, że na Romów trzeba patrzeć poprzez połączenie trzech wyżej wskazanych sposobów.

Romowie swą odmiennością powodują, że zrodzona gdzieś w średniowieczu niechęć trwa. Hermetycznie zamknięta grupa nie pozwala bliżej się poznać i większość społeczeństwa bazuje na stworzonych przed wiekami stereotypach. A przecież to zwykli ludzie. Oczywiście, są wśród nich osoby wchodzące w konflikt z prawem, ale w której nacji nie ma? Nie należy więc generalizować. Myślę, że sytuacje Romów we współczesnej Polsce najlepiej oddaje stare przekadło: kowal zawinił, Cygana powiesili. Nie oznacza to oczywiście że Cyganie są karani za nie popełnione przewinienia, ale oddaje sposób myślenia większości ludzi. Jeżeli nie ma winnego, to pod ręką znajdzie się Cygan. Organizacje romskie, w tym Związek Romów Polskich, wiele robią, by zmienić ten stereotyp. Jest jednak trudne przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze Romowie stanowią bardzo mały odsetek ludności w Polsce, w większości są biedni, wielu z nich, szczególnie starsi to analfabeci. Powód drugi, to zamknięcie się w grupie. Dopóki Romowie się nie otworzą, dopóty przeciętny Polak będzie tkwił w błędzie, że Romowie to niebieskie ptaki, które nie sieją i nie orzą, a powodzi im się dobrze. Ja w Szczecinku nie spotkałem bogatych Romów. Żadna rodzina nie żyje ponad stan. Mnie nie przeszkadza ich odmienność obyczaju, tak jak nie przeszkadza mi, że ktoś wyznaje inną religię, czy ma poglądy polityczne odmienne od moich odmienny. Najpierw człowieka trzeba dobrze poznać, by coś o nim powiedzieć. Ja Romów poznałem na tyle dobrze, że mogę powiedzieć: jesteśmy tacy sami.